

WYDAWNICTWA ROK XVIII

# PRÓMYK

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



Mal. Henryk Dzierżanowski.  
ŚWIĘTY FRANCISZEK Z ASSYŻU.

WARSZAWA, ŚRODA 4 PAŹDZIERNIKA 1933 R.

N<sup>o</sup> 5





#### ROZWIĄZANIE ZADANIA Z № 2.

Dzisiaj przyszedł Tazio do Kachny.

— Zgadłeś? Wiesz już, w jaki sposób jajko dostało się do karafki?

— Nie, nie wiem. Myślałem, myślałem, ale nic nie mogłem wymyślić. Powiedz mi, w jaki sposób to zrobiłaś!

— Ugotowałam jajko na twardo i obrałam je ze skorupki. A potem powietrze pomogło mi delikatnie wcisnąć jajko przez szyjkę karafki...

— Żartujesz!...

— No, to patrz! Zaraz powtórzę przy tobie tę sztukę. Oto jest jajko ugotowane na twardo i bardzo starannie obrane z łupinki. A tu karafka. Wokół nas jest powietrze i w karafce jest powietrze. A teraz usunę trochę powietrza z karafki. Wrzucę do karafki parę skrawków papieru i zapaloną zapalstkę. W gorącym powietrzu się rozszerza, nie może się już wszystko zmieścić w karafce, to też uchodzi przez szyjkę nazewnątrz.

A teraz, spójrz, biorę jajko i szybko przykładam je węższym końcem do szyjki. Po chwili ogień gaśnie i powietrze w karafce stygnie. Bardzo mało powietrza jest teraz w karafce, nie wypełnia jej dostatecznie. A nad jajkiem jest bardzo wysoko powietrze. Powietrze jest ciężkie. Powietrze ciężarem swoim wypycha jajko do wnętrza karafki, a cisnąc ze wszystkich stron zupełnie jednakowo, nie roznosi jajka, nie uszkadza. Oto i cała tajemnica. Wlejemy teraz trochę wody do karafki i wypłócemy ją od wewnątrz. O, już jest czysta.



# PŁOMYK

*tygodnik ilustrowany  
dla dzieci i młodzieży*



Jarzą się klony, buki,  
goreją jarzębiny,  
wiszą kropelki rosy  
w koszyczkach z pajęczyny.  
Spóźnioną, nikłą piosnkę  
cichutko dzwonią ptaki.  
A rzeka patrzy w niebo  
przez zblakłe tataraki.  
Wikliny szepcą pacierz,  
za chwilę może klękną...

Ziemia ma ukochana,  
o jakże jesteś piękną!  
Niebiosów ciemny szafir  
w słonecznej skrzy się dali  
i jest napewno głębszy,  
niż kędyś tam, w Italji.  
O ziemia ma rodzona,  
w dzień, jako dziś, pogodny  
myślę, jak stać się ciębie  
i twego piękna godnym.

M. CZERKAWSKA.







## O ŚWIĘTYM FRANCISZKU Z ASSYŻU, PRZYJACIELU WSZELKIEGO STWORZENIA.

Są ludzie, którzy sięją dokoła otuchę i radość. Na każdą biedę zaradzą, każdy smutek rozwieją dobrem słowem i jasnym uśmiechem, przed którym nie ostoją się ponure spojrzenia, niechętnie, zimne słowa, bezradne rąk opuszczenie.

Czy znacie takich? Jeżeli to dziecko, mówi się o niem w domu: „To nasze słonko!”. A jeżeli dorosły, to każdy garnie się do niego, bo każdy czuje się przy nim weselszy i lepszy. Garnie się nie tylko człowiek: wszelkie stworzenie.

Ale chyba do nikogo innego tak nie garnęło się wszystko, co żyło, nikt inny chyba nie był takim błogosławieństwem dla ludzi, dla świata, jak święty Franciszek. Jego serce, otwarte na wszystko, radowało się każdą odrobiną dobra i szczęścia, bolało zaś bezgranicznie, widząc smutek, nienawiść, cierpienie. Gdzie głód, choroba, czy też inna krzywda, tam śpieszył święty z ratunkiem i pociechą. Jego ręce, pomoc niosące, nie cofały się przed niczem: straszny widok trędowatych, okrytych ranami, nie budził w nim, jak w innych, odrazy, tylko wielki żal. Służył im, nie bacząc na niesprawiedliwe wyrzuty lub zelżywe słowa, jakimi nieraz obrzucali go rozgoryczeni swą nędzą chorzy. I zdarzało się, że nieuleczalna choroba niby cudem ustępowała pod tym źródłem ciepła, jaki płynął przez miłujące ręce świętego Franciszka, a w serce chorego wstępował spokój i otucha.

Ale najbardziej może cierpiał, gdy widział zło, które toczy ludzkie serca. Z otwartymi ramionami szedł do wszystkich „niedobrych” i płomiennymi słowy, a nadewszystko potęgą swego serca miłującego przemieniał ludzi. To też garnęli się do niego wszyscy, którzy pragnęli, tak jak on, służyć nieszczęśliwym i radość mnożyć, zamiast nieszczęścia. „Braćmi” nazywał ich święty Franciszek; wszystko, co mieli i wszystkie swoje siły oddawali ci pierwsi bracia potrzebującym. Aby coraz więcej było szczęścia i dobra na świecie, aby zniknęło to wszystko, co zimne, ponure i złe.

Cóż dziwnego, że nawet nieme stworzenia garnęły się do świętego Franciszka i jego ukochanych braci! Toć wiemy, że i pies, i koń, i ptactwo domowe, i nawet pszczoła, taki maleńki owadek, wszystkie one czują



doskonale, czy mają do czynienia z dobrym, łagodnym człowiekiem, czy też ze złośliwym i sobkiem. To też nie dziwi nas, gdy słyszymy, że nawet wilk drapieżny posłuchał świętego Franciszka, gdy ten do niego przemówił, wzywając, aby przestał sadyby ludzkie napadać; że się położył u jego stóp, jak baranek, a wreszcie podał mu łapę na znak zgody, i że dochował przysięgi. I nawet nie tak bardzo nas to dziwi, kiedy czytamy w dawnych książkach, że i ptaszki na drzewach uważnie słuchały słów świętego Franciszka, kiedy przemawiał do nich. Bo szczerze kochał wszystko, co żyje, i czuło to każde stworzenie.

— No tak — powiecie, — ale to był wielki święty!

Był on jednak takim samym człowiekiem, jak każdy z nas. Jako młody chłopak, uciekał od ojca ze sklepu, nudziło go bowiem odmierzać łokciem sukno i liczyć pieniądze. Wolał bawić się z kolegami. Przepadał za pięknym strojem i lubił życie wesołe i beztrudne. Ale przyszła chwila, kiedy zrozumiał, że największym skarbem i szczęściem jedynym jest — kochać, kochać prawdziwie, a więc — pomagać. I wszystko, co może zaćmić lub umniejszyć kochanie — wyrzucił ze swego życia.

Był takim człowiekiem, jak każdy z nas. Tyle tylko, że ukochał całą duszą to wszystko, co jasne i dobre w człowieku, tak bardzo ukochał, że był niby słońce, które światu całemu świeci, i tłumy ludzi pociągnął za sobą ku światłu.

Dziś właśnie, 4 października, przypada dzień św. Franciszka z Assyżu.

M. Przyborowska.

### ŚW. FRANCISZEK.

*Gdy w laszek zaszedł pobliski,  
to wychodziły z nor liski.  
Gdy stanął w cichym sadzie,  
ptaszęta mknęły w gromadzie.  
I otaczały go wkoło  
chmarą radosną, wesołą.  
I nad świętego głowę  
ptaszęcą gwarzyły mowę.  
Święty z Assyżu Franciszek,  
ptaszków i zwierząt braciszek.*

*Do jego dłoni świętej  
podchodził wilk uśmiechnięty.  
Owady miał w swej opiece,  
rybki kochały go w rzece.  
Przemawiał do nich codzień —  
święty na świecie przechodzień...  
Niech każde z dzieci pamięta,  
aby też kochać zwierzęta,  
bo bratem, siostrą przecie  
każde stworzenie na świecie!*

HELENA DUNINÓWNA.







...nieśli „wieńce” osobiwe: tu chatka z drzewa i słomy...

## DOŻYNKI W SPALE.

W Spale, w miejscu letniego pobytu Pana Prezydenta w dniu 3-im września odbyło się święto dożynek.

Ruszyło 20.000 ludu ze wszystkich stron Polski — ci dalsi koleją, ci bliżsi wozami — i raniutko byli już wszyscy na miejscu.

A teraz Wam opowiem, jak się uroczystość odbyła.

Do ogromnej drewnianej hali punktualnie o godzinie 9-ej przybył Pan Prezydent. 20.000 głosów powitało Go pieśnią „Jeszcze Polska nie zginęła”. Ksiądz biskup Kubina wyszedł ze mszą świętą i w podniosłym kazaniu pozdrowił przybyłych.

Po nabożeństwie i krótkim odpoczynku ruszył pochód. Dwanaście gromad, każda z innej dzielnicy Polski, każda w swym pięknym stroju ludowym, każda z muzyką i z wieńcem żniwnym we wzorowym porządku odmaszerowały przed pałac, gdzie na ganku zasiadł już pierwszy Gospodarz Polski.

A na przedzie starosta dożynkowy, Kaszuba i przodownica, Ślązaczka — oboje ustrojeni, aż oczy ku nim rwało.

Starosta składa snop zboża u stóp Gospodarza, szczęścia Mu ży-





„stają drużyny małem półkolem w pobliżu Pana Prezydenta„



czy i w cztery strony świata rozsiewa zboże: „Szust pszeniczka, jak ręka ciska; szust żytko, jak korytko; szust jęczmień, jak drzewa pień; szust tataraka, kiejby miarka”.

Po tym wstępie przeszły pokrótce przed Panem Prezydentem obrzędy rolne całego roku polskiego. Więc noworoczny „Turoń” kłapał paszczką i hasał po polanie; dziewczątka przyszły z Gaikiem - maikiem wiosennym, a chłopacy z dyngusowym kogutkiem żywym, na wózku wśród kwiecia siedzącym. I były wianki sobótkowe i wielki wieniec żniwny, którym dziewczęta „związały” Gospodarza.

A potem już szedł korowód długim ciągiem, szedł przez dwie godziny. Wysłańcy od całej Polski ludowej.

Szli i nieśli „wieńce” osobliwe: tu chatka z drzewa i słomy, otoczona ramą kłosową, tu kościółek, tu świątek przydrożny, tu kosz owoców, opasany zbożem...

Po południu uroczystość składania wieńców. Na wielkiej polanie 12 „bram” — słomiane strzeszki na słupkach. Nad każdą inny napis, a więc: Wileńskie, Polesie, Wołyń, Lwowskie, Lubelskie, Mazowsze, Krakowskie, Podhale, Śląsk, Kieleckie, Wielkopolska, Pomorze. Pośrodku strzecha inna, duża i piękna — ogólnopolska.

Pod każdą strzechą skupia się z danej ziemi ludność. Naprzeciwko tych bram, rozłożonych półkołem, stoi niby ganek wiejskiego dworku. To miejsce dla Pana Prezydenta.

I oto na dany znak ze wszystkich bram jednocześnie ruszają drużyny żniwiarzy z muzyką i wieńcami na przedzie i cały ten wielki pochód, idąc wolniutko ku swemu Panu, jednym wielkim chórem śpiewa:

„Plon niesiemy, plon w gospodarza dom...”

I stają drużyny małym półkołem w pobliżu Pana Prezydenta i teraz kolejno zbliżają się jedna po drugiej z muzyką i śpiewem i pierwszemu Gospodarzowi Polski składają swój wieniec.

Na zakończenie ze środkowej bramy ruszył pochód, w którym było po jednym człowieku z każdej dzielnicy Polski. Na czele starosta dożynkowy i przodownica nieśli olbrzymi, dwumetrowej wysokości wieniec.

Przodownica składa życzenia, a starosta bochen chleba:

„Oto macie bochen chleba,  
krajcie nie dużo, nie mało,  
żeby dla wszystkich stało. Amen”.

I Pan Prezydent kraje chleb i dzieli się nim z przodownicą i starostą dożynkowym, a potem częstuje gospodarzy i gospodynie kubkami miodu.

Oj, użył każdy na tych dożynkach, użył! Wszystkich zebranych Pan Prezydent ugościł i śniadaniem, i obiadem, i wieczerzą; każdy posilił się, ile jeno zapragnął. A potem kapele grały i tańczyła cała ta wiosna, spracowana i ochocza Polska, aż się echa niesły po rozległym spaliskim borze i pod ciemne, ugwieżdżone niebo.

J. P.





## GĄSKA I PASTUSZEK.

(Do deklamacji we dwie osoby).

JĘDRUŚ.

Za stodołą, za steczką  
pięknie weszło słońeczko.  
Oj, pasalem cię latem,  
moja siwa gąseczko!

GĄSKA.

Tak, Jędrusiu, dziecino,  
jedną szliśmy drożyną,  
czyż chcesz teraz porzucić  
swoją gąskę jedyną?

JĘDRUŚ.

Już pod borem wrzos kwitnie  
różowo i błękitnie,  
pójdzie Jędrus wesoły  
hej, z książeczką do szkoły.

GĄSKA.

Co ty mówisz, kochanie,  
a cóż ze mną się stanie?  
Co ja zrobię? Gę-gę-gę!

JĘDRUŚ.

Widzicie niedołęgę?  
Wstydz się, wstydz, gąsko szara,  
toż nie jesteś niezdara!  
Latem ślicznie wyrosłaś,  
co za mina wyniosła!

Czy wyglądasz nie pięknie?  
Każdy kundel się złęknie.

GĄSKA.

Zawsze z tobą ja wolę  
chodzić razem na pole.  
Lecz powiedz mi, chłopczyno,  
a co będzie w tej szkole?

JĘDRUŚ.

Żałuj, żałuj, ma miła,  
żeś się gąską zrodziła!  
U nas w szkole, nie zgadniesz,  
jak przyjemnie i ładnie.  
Pani nam opowiada  
gadki, bajki nielada,  
w książce z piękną okładką  
umiem czytać już gładko.  
A kolegów ilu!

Prędko biegną mi chwile.

GĄSKA.

No, to idź już, Jędrusiu,  
kiedy tak ci jest mile!

JĘDRUŚ.

O, czas szybko ucieka,  
droga jeszcze daleka.  
Bywaj zdrowa, gąseczko,  
bo tam szkoła mnie czeka.

Anna Świrszczyńska.



O jabłonce i jabłuszkach  
oraz o jeżowych nóżkach,  
o dniu, nocy, zimie, lecie—  
i o bardzo pięknym świecie.



...Słońce się do sadu śmieje,  
sad jest rad ze słońka.  
— Tylko mnie tak źle się dzieje!  
— szepcze w śnie jab'lonka.  
Bo jabłuszka jednym liczkem  
smutno się zielenia,  
słońko nie chce jabłoneczki  
grzać od strony cienia.  
Tyle jabłek pięknych, krągłych,  
i czerwoneby być mogły,  
gdybym jakieś nóżki miała  
i w słońeczku tańcowała.  
O, korzenie! O, korzenie!  
Takie wielkie mam zmartwienie!  
Wyjdźcie z ziemi,  
pobiegniemy,  
pobawimy się w słońeczku,  
choć chwileczkę,  
choć troszeczkę,  
ogrzać chcę moje jabłuszka!  
Z czarnej ziemi, swego leża,  
wnet korzenie wystąpiły  
i w nóżki się zamieniły,  
takie nóżki, jak u jeża.  
Dziwuje się grusza z śliwą:  
— Widzieliście, co za dziwo?!  
Jabłoneczka, tam, na drózkach,  
na jeżowych skacze nóżkach!  
Obraca się w lewo, w prawo,  
głową trzęsie nad murawą,  
najpierw polkę, potem walca  
na jeżowych tańczy palcach.  
Ciepłe słońko jej przygrzewa,  
z lewa, z prawa, z prawa, z lewa!  
Jak wesoło  
tańczy wkoło,  
coraz prędzej, coraz szybciej,  
aż furkocą w wietrze liście!  
Oh, tak skacze, — spójrzcie  
zbliska —  
że aż jabłka w górę ciska!



Oh, jak tańczy, nie ustaje,  
 coraz szybciej, coraz chyżej,  
 a jabłuszka nie spadają,  
 tylko lecą coraz wyżej,  
 ponad sady, hen, do góry,  
 ponad lasy, ponad chmury, —  
 lata, wieki, lat tysiące,  
 będą krążyć wokół słońca,  
 będą krążyć tak bez końca  
 i zapomną o jabłonce.  
 — Będą krążyć po niebiosach,  
 nigdy już ich nie zobaczą!  
 Płacze jabłoń ranną rosą,  
 listeczkami we śnie płacze!



A tymczasem słońko wstało  
 i uśmiecha się do sadu,  
 siwa pliszka przyleciała  
 i z wróblami gadu, gadu,  
 gadu, gadu, baju, baju,  
 o dalekim, ciepłym kraju,  
 że odleci w październiku,  
 a powróci wiosną wczesną...  
 Gadu, gadu — słów bez liku!  
 Aż się jabłoń budzi ze snu  
 i otwiera mokre listki —  
 patrzy:

wszystkie!

wszystkie!

wszystkie

ma jabłuszka!

Więc się cieszy jabłoneczka,  
 że nie skacze już na nóżkach;  
 korzeniami wodę chłonie,  
 uśmiecha się do słońeczka,  
 a słońko się śmieje do niej!  
 Słyszy śmiechy pliszka siwa,  
 więc przysiada na gałązce:  
 — Niechże pani się nie gniewa,  
 ja jabłuszek jej nie strącę.  
 Chciałam spytać, jak się czujesz?  
 Bo dziś z rana  
 zbudziłaś się zapłakana,  
 a teraz się tak radujesz!  
 Co się stało?!

*Dokończenie nastąpi.*





## TAJEMNICZA SPRĘŻYNKA.

Klasa zdobywa się na wspólny czyn; zbiera groszową składkę i opłaca prenumeratę za trzy egzemplarze „Płomyka”. Czyn jest *dobry*, *piękna* jest zgoda i jednomyślność, z jaką powstał, a przytem osiągnięta jest mądra prawda, że — „jak w gromadzie — to sporzej, jak samemu — to gorzej”. Słowem, jak dotychczas wszystko ślicznie, ale zobaczmy, co się dzieje dalej!

„Płomyki” zaczynają nadchodzić, jest ich tylko trzy, a dzieci aż trzydzieścioro...

Ktoś je przynosi do klasy. Robi się gwałt. Wszyscy się pchają. Każdy chce dostać przed innymi numer do domu. Każdy tak samo zapłacił. Wszyscy mają równe prawa.

— Zośka, nie pchaj się!

— Oo! Witek musi być pierwszy, ma się rozumieć!...

— A co, myślisz, że ty będziesz pierwsza?...

Pani radzi, żeby ktoś jeden zapisywał wydawane numery, a wydawać może najlepiej według alfabetu...

— Oho! to Abczyńska będzie zawsze pierwsza — odzywają się protesty. Wreszcie wybrano do zapisywania „Płomyków” Florka, bo to „porządny chłop — nikogo nie ukrzywdzi...”

Florek zabrał się do dzieła z całym poświęceniem. „Łupnął” z nowego bruljonu dwie kartki ze środka (trochę się tylko naddarły) i wykaligrafował: „Płomyk”. Nr. 1 — Abczyńska, Adamski, Bobowski”. Potem trzeba ich było skreślić, ale nadszedł już Nr. 2. Co tu zrobić?... Brać nową kartkę? Jeszcze pogina!

Ktoś Florkowi poradził:

— Wał, bracie, na tej samej!...

I Florek „wali” dalej...

Przychodzą coraz nowe numery... i... wszystko zaczyna tańczyć „galopkę”: po numerze 10-ym numer 1-szy, po 7-ym — 4-ty. Po Jegilewiczu — Abczyńska, Apcio Ciamajdziewicz oddaje Nr. 3, ale w żaden sposób nie można odszukać, gdzie to zapisane, bo bardzo długo trzymał i trudno znaleźć... Filomenka Wiercicka krzyczy na całą klasę, że nie czytała jeszcze numeru 8-go... Trzeba przejrzeć wszystko od początku (a już tego 4 bite strony). Dwa numery ósme wiadomo, kto czyta, ale kto u licha trzyma ten trzeci?!... Biedny Florek nie może sobie z tem poradzić.

Przy pięknym czynie całej klasy i najlepszych chęciach Florka — brak tu jakiejś drobnej sprężynki!...

— Czy chcecie wiedzieć, co to za tajemnicza sprężynka?

To *organizacja pracy*, która dąży do osiągnięcia najwyższej sprawności, do osiągnięcia największych rezultatów przy najmniejszym wysiłku.

A teraz powiem Wam coś o swoich kłopotach. Bo trzeba Wam wiedzieć, że kłopoty Florkowe przy moich to jeszcze były — „bajki”...

Otóż pracuję w dużej bibliotece, do której nadchodziło nie 3 „Płomyki”, tylko 103 czasopisma i czytelników było nie 30-tu, a 150-ciu. I każdy chce czytać te czasopisma, które go interesują i trzeba wiedzieć, które już czytał, a których jeszcze nie, i które czasopismo nadeszło, a które zginęło.

— Co tu zrobić z tym fantem?...

Zapisywać w bruljonie, wszystko pod rząd, to zginę, jak biedny Florek... A tu wszystko *musi* być w porządku. Mądrych ludzi się radzę, siadłam, myślę... myślę... aż wymyśliłam.

A czy dobrze wymyśliłam, to sami osądźcie... Teraz ci wszyscy, co pięknie i zgodnie zaprenumerowali „Płomyk”, „Płomyczek”, a może i „Czyn Młodzieży” i „Iskry” i inne czasopisma: Baczność! Niech nadstawią uszy i otworzą oczy! Nauczę Was w następnym numerze, jak sprawnie obdzielić „Płomykami” całą klasę, bez zamieszania, nieporozumień i florkowych kłopotów!

*Dokończenie nastąpi.*





5)

ROZDZIAŁ PIĄTY, W KTÓRYM REPORTER CHCE WZIĄĆ UDZIAŁ, CHOĆ NIE WIE, W CZEM.

Po paru godzinach Jacek Czyński oprzytomniał. Rozejrzył się po pokoju, nie poruszając głową, w której odczuwał nieznośny ból. Ujrzał sufit, pocięty drutami i różnej grubości rurami. Zwolna przypomniał sobie, co się z nim stało. Dopiero po dłuższej chwili doszedł do wniosku:

— Jestem w jakimś lokalu Rakietowa!

Usiłował się poruszyć, ale dotkliwy ból nie pozwolił mu nawet unieść głowy.

— No, jakże się pan czuje? — usłyszał miły głos kobiecy.

— Bardzo dziękuję. Zdaje się, że jestem zupełnie zdrow. Mam tylko chęć napić się wody i odzyskać swobodę ruchów.

— Nie wolno panu się poruszać. O swobodzie ruchów zdecyduje nasz lekarz, doktor Burlicz. Niech się pan teraz napije. — Jacek ujrzał nad swą głową młodą twarzyczkę panny Ewy, która dotknęła jego ust szklanką z wodą.

— Dziękuję — powiedział Jacek. — Czy pani nie zechciałaby powiedzieć mi łaskawie, w jakim to lokalu się znajduję?

— W laboratorium.

— Domyślam się, gdyż widzę sufit. Ale ciekaw jestem, co też to za laboratorium?

— Nie zaspokoję pana ciekawości — powiedziała spokojnym, ale stanowczym głosem panna Ewa.

— Aha, tajemnica.

— Tak.

— A pani naturalnie wie?

— A pan nie znosi, jeśli ktoś wie, a pan nie wie? — zapytała z uśmiechem.



— Mam to już w swej naturze, proszę pani. Dziennikarz musi wszystko wiedzieć, bo wszystko wiedzieć chcą czytelnicy.

— Ale takie wdzieranie się przemocą do cudzych tajemnic nie jest ładne.

— Osoba profesora Knycza i jego wybitna praca należą do społeczeństwa. Ono musi wiedzieć.

— Dowie się w swoim czasie.

— Chodzi też i o to, jakim sposobem się dowie. Mój dziennik musi być pierwszym, który społeczeństwo powiadomi o pracy profesora.

— Tak jest pan tego pewien?

— W każdym razie uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, by był pierwszym.

— Niewiele jest teraz w pana mocy, kiedy pan poruszyć się nawet nie może.

— Uczynię to...

Dalsze słowa Czyńskiego przerwało nagle wejście doktora Burlicza. Już od progu wołał:

— Ach, droga Ewuniu, nie masz pojęcia, co za przykrość! Ojciec jest bardzo zasmucony. Niktby się tego nie spodziewał po Kolasińskim! Zdawałoby się, że taki zacny człowiek, o niewzruszonych zasadach!

— Co się stało, doktorze? — pytała panna Ewa z trwogą w głosie.

— Kolasiński nie wrócił do pracy. Nadesłał dziś list, w którym się tłumaczy, że nie może wybrać się na naszą wyprawę. Nie pozwala mu narzeczona! Tak, tak! Narzeczona mu nie pozwala! Dla kobiety niema nic ważnego na świecie poza jej własną wolą i zachciankami!

— Ależ, doktorze!...

— Nie zaprzeczaj, moje dziecko! Takie są wszystkie. Inne to tylko wyjątki! Ty do nich należysz, wiem to. Ale Kolasiński! Żeby dać sobą tak powodować kobiecie! To poprostu niepojęte!

— I co teraz zrobimy?

— To właśnie najważniejsze pytanie. Ostatecznie niech zostanie przy narzeczonej. Powiedziała mu, że jeśli ją opuści, wyjdzie za innego. Złął się tego i odmówił udziału w wyprawie! A niechby wyszła za kogo innego!

— Łatwo doktorowi decydować, kiedy to nie doktora narzeczona...

— A prawda! Ale co my teraz zrobimy? Ojciec głowi się nad tem i martwi się! A jakże nasz pacjent? Widzę, że otwiera oczy...

— Tak, panie doktorze! Już, zdaje się, jestem zdrów.

— No, niezupełnie, niezupełnie!

— W każdym razie mam nadzieję, że stanie się to w przeciągu dnia... Tymczasem pozwolę sobie zrobić pewną propozycję... Słyszę, że brak państwu pracownika, który zrezygnował z udziału w wyprawie pańów. Czy nie zechcieliby panowie wziąć mnie na jego miejsce? Ja nie mam narzeczonej!

— Ho, ho! Takiego potłuczonego jegomościa?! A przytem pan





Omal mnie pan nie podszedł!...

nie przeszedł ćwiczeń, które decydują o możliwości wyprawienia się z nami w tak daleką podróż!

— Więc panowie szykują się w podróż?

— I to dość daleką...

— Doktorze, mieliśmy nic nie mówić dziennikarzom! — wtrąciła się panna Ewa.

— Racja! Omal pan mnie nie podszedł! A to z pana lis!

— Nie miałem zamiaru podstępem wydierać tajemnicy państwa. Poprostu proponuję swe usługi. Zaznaczam, że jestem świetnie wysportowany, wytrzymały na wszelkie niewygody. Wzamięn proszę tylko o prawo pierwszeństwa drukowania wiadomości o pracach panów, kiedy panowie uznają, że można już je podać do wiadomości publicznej.

— Powiem to Knyczowi. Niech decyduje. Ale najważniejszy szkopał to ten, że pan się przecież nie może poruszyć, a my wyruszamy już za ty...

— Mieliśmy nic nie mówić — ostrzegła znów panna Ewa.

— Racja! W każdym razie zakomunikuję Knyczowi pana propozycję. Kto wie? Bądź co bądź, wygląda pan na człowieka inteligentnego, silnego i zdrowego. Ale kiedy się pan dowie, dokąd my się wybieramy, zapewne też zrezygnuje pan z udziału w naszej wyprawie.

— W żadnym wypadku! — zawołał gorąco reporter. — Jeśli państwo dacie mi obietnicę, że mój dziennik będzie pierwszym, który otrzyma wiadomość o wyprawie, nie cofnę się nigdy!

— Niech się panu nie wydaje, że to taka sobie zwykła wyprawa! Musiałby się pan dobrze zastanowić! — mówił doktor, obracając Czyniskim. — Zdaje się, że wszystko w porządku. Za dwa dni pan wstanie... Ale to niebylejaka wyprawa — powrócił doktor do poprzedniej myśli. —



Propozycja jednak pana jest zachęcająca... Idź, Ewciu, powiedz ojcu. Ciekaw jestem, co on powie na to. Inżynier nie będzie przychylny, bo nie lubi dziennikarzy. Ale wobec naszego bliskiego wyjazdu, nie mamy znów takiego wyboru!

— Panno Ewo! — zawołał Czyński za wychodzącą. — Niech pani zechce użyć swego wpływu, jako córka na ojca, i otrzymać od niego zgodę. Zapewniam, że jestem dobrym i wytrzymałym towarzyszem!

Panna Ewa odwróciła głowę. Na ustach jej zjawił się uśmiech wobec zapału reportera do wyprawy, o której nie miał pojęcia.

— Dobrze. Poproszę ojca, by się zgodził na pana propozycję. Ale niech pan nie usiłuje dowiedzieć się narazie od doktora, co to będzie za wyprawa. Jeśli bowiem ojciec mój nie zgodzi się pana przyjąć na członka wyprawy, to nie należy jeszcze jej rozgłaszać.

— Ależ dałem słowo, że nie ogłoszę ani słówka, dopóki nie otrzymam zezwolenia profesora! — powiedział Jacek, dotknięty podejrzeniem o niepowściągliwe gadulstwo.

*Dalszy ciąg nastąpi.*

## WARSZAWA JUŻ MA TUNEL!

— Chłopcy, jakby to wyglądało, gdybyśmy, mieszkając w Warszawie, nie przejechali się nowym mostem kolejowym, wiaduktem, a przede wszystkim tunelem, zbudowanym pod ulicami stolicy? Zbierajcie się zaraz, jedziemy tramwajem na dworzec Wschodni, a stamtąd nową linią kolejową na dworzec Główny!



Fot. Jan Ryś.

PAN PREZYDENT NA UROCZYSTOŚCI OTWARCIA LINII ŚREDNICOWEJ.



Radość moich zuchów była ogromna. Ciekawość nie mniejsza, jak wygląda ten tunel?

O godzinie czwartej po południu byliśmy na dworcu Wschodnim i dowiedzieliśmy się, że narazie chodzą tylko po nowej linii pociągi dalekobieżne, to znaczy, idące na daleką odległość, i że najbliższy pociąg wychodzi o 4-ej minut 26. Przejazd kosztuje tyle, ile bilet peronowy, to jest trzydzieści groszy. A można jechać i pośpiesznym pociągiem.

— Na dworzec Główny, pierwszy peron górny! — oznajmił bileter.

— Patrzcie, chłopcy, ten wysoki nasyp przed dworcem jest też świeżo wzniesiony, wybudowano również tunelowe przejście z dworca na peron na tym nasypie.

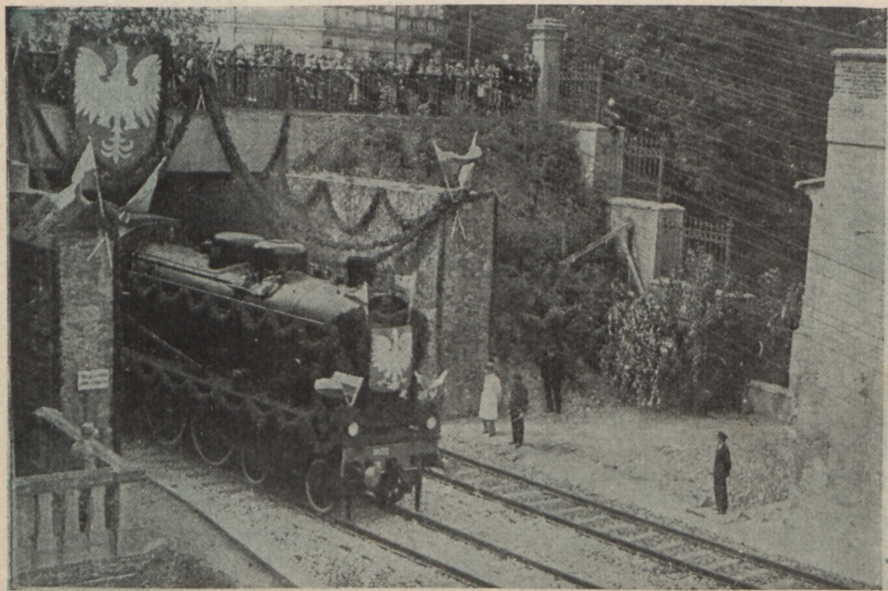
Z tunelu pod nasypem prowadziły schody oddzielnie na pierwszy peron i oddzielnie na drugi. Na długich betonowych peronach dla wygody publiczności stały ławki pod dachami i kioski, a poza tem wieże sygnalizacyjne. Po obu stronach peronu leżały tory.

— Proszę pana, a dlaczego ta nowa linja kolejowa nazywa się linją średnicową?

— Dlatego, że dotychczas pociągi z dworca Głównego na Pragę i odwrotnie przebiegały po linii kolejowej wokół Warszawy, czyli po tak zwanej obwodowej; nowo zbudowana linja stanowi jakby średnicę tego wydłużonego obwodu i przecina środek miasta, to też słusznie nazywa się średnicową. Długość linii obwodowej z Głównego do Wschodniego wynosiła około 16 km, a średnicowej — prawie  $\frac{1}{4}$  tego. Nowa więc linja kolejowa spowodowała tańszą, bliższą i wygodniejszą komunikację dla podróżnych.

— O, proszę pana, tam zdaleka idzie pociąg, to może nasz?

— Zapewne. Mamy jechać pociągiem, który idzie aż z Zemgale, a więc od granicy łotewskiej przez Wilno, Grodno, Białystok.



Fot. Jan Ryś.

POCIĄG, WIOZĄCY P. PREZYDENTA, WYJEZDZA Z TUNELU.



Pociąg tymczasem wpał na jeden z torów przy naszym peronie. Potężna lokomotywa, sapiąc rozgłośnie i hamując pociąg, przeszła mimo nas. Pociąg stanął. Wsiadliśmy do jednego wagonu i pociąg wkrótce ruszył.

— Wjeżdżamy z nasypu na wiadukt. To jest ulica Targowa, a teraz Zygmuntowska. Przecinamy Jagiellońską.

Wjechaliśmy zpowrotem na nasyp.

— O, park Paderewskiego na lewo! — zawołał jeden z chłopców

— A te podłużne stawy na prawo to łachy wiślane, wykorzystane, po pogłębieniu i ocembrowaniu brzegów, jako porty towarowe, a zwłaszcza zimowe dla berlinek i statków. No, wjeżdżamy na nowy most. Możecie się teraz przyjrzeć z jednej strony mostowi Księcia Poniatowskiego, a z drugiej mostowi Kierbedzia.

— Chłopcy, a teraz uwaga — wjedziemy za chwilę znów na wiadukt nad Solcem. Patrzcie, o ta ulica na prawo to Dobra, a ten drugi narożny dom po prawej stronie na Dobrej, sąsiaduje z pięknym gmachem Związku Nauczycielstwa Polskiego, gdzie mieści się redakcja „Płomyka”.

Za chwilę, za moment, zamajaczyła wieża wiaduktu mostu Księcia Józefa i raptem znaleźliśmy się w tunelu. Z początku zdawało się, że jest ciemno. Lecz wnet błysnęła mijana lampa elektryczna w ścianie tunelu, za nią druga, trzecia, czwarta i tak dalej, to z jednej, to z drugiej strony naprzemian.

— Jak widzicie, tunel jest oświetlony elektrycznością. Wszystkie też sygnały kolejowe na tej linii są elektryczne i zautomatyzowane. A w niedalekiej przyszłości na dworcu Wschodnim i na przystankach w Szczęśliwicach i na Czystem z drugiej strony Warszawy będą zamienione parowozy na wagony z motorem elektrycznym, żeby nie było w mieście i w tunelu dymu od parowozów.

— Proszę pana, a poco te wnęki w ścianach?

— Od niektórych z nich prowadzą schody na zewnątrz, na ulicę, lecz większość z nich to schron dla kolejarzy, gdy pociąg przechodzi. Tunel jest dwutorowy i ma tysiąc dwieście metrów długości. Przechodzi pod Alejami Trzeciego Maja i Jeruzolimską. O, już wjeżdżamy na dworzec Główny, bo tunel się rozszerza.

Wjechaliśmy w wykop, oświetlony już dziennem światłem. Pociąg minął szereg żelaznych potężnych słupów i stanął.

Wysiedliśmy z pociągu. Z dolnego peronu prowadziły cztery oddzielne klatki schodowe do nowego tymczasowego dworca, który zbudowany z drzewa, stoi na potężnej żelaznej konstrukcji, wyrastającej z dolnych peronów. Na tych peronach zbudowane są też cztery windy dla wózków z pakunkami. Byliśmy na górze. Po jednej stronie nowego dworca była Aleja Jeruzolimska, a po drugiej stary dworzec.

Jan Milewski.

## ODLOT.

Hej! Bociany lecą sznurem  
po nieba błękitcie,  
odlatują w ciepłe kraje,  
hen, po nowe życie.  
Lecą, krążą, klekotają...  
Ciężki dzień odlotu,  
choć i nawet w błękit nieba,  
choć ku słońca złotu.  
Hej! Raz jeszcze okrążają  
wieżycę kościelną  
i tę wioskę miłowaną,  
słoneczną, niedzielną,  
i te bory, i te bagna  
i te łąki krasne...

Niema to, jak kraj rodzinny!  
Jak te gniazda własne!  
Przed chatami ludzie stoją,  
przestonili oczy.  
Patrzą na ten sznur bociani  
wśród niebios roztoczy.  
Odlatują! Smętek w duszy,  
tęża łśni pod powieką...  
O! wam, boćki, pożegnanie,  
na drogę daleką!  
O, powróćcie do nas z wiosną,  
ptaki miłowane,  
będziem chronić wasze gniazda,  
na dachach usłane.

MARJA CZESKA-MĄCZYŃSKA.



# JAK SPRYTNY JEŹ GRO- MADZIŁ ZAPASY NA ZIMĘ





## PAMIĘTNIK CHINKI.

I tu, jak wszędzie, byli ludzie lepsi i gorsi. Wszyscy jednak posiadali jeden przymiot, którego często Europejczykom brakuje, a mianowicie cześć dla ludzi wiekowych, oraz wdzięczną miłość i wielki szacunek dla rodziców.

Pamiętam, jak razu pewnego przywędrował do nas jakiś Chińczyk, dźwigając na plecach starą kobietę. Była to jego matka, która mieszkała z nim w innej stronie kraju, ale przed śmiercią zapragnęła koniecznie zobaczyć rodzinną swoją wioskę. Syn, nie mając środków na odbycie podróży w inny sposób, przyniósł ją, odbywając drogę pieszo. Wynająwszy mieszkanie dla matki, ów syn, imieniem Szunczi, najmował się potem do pracy u bogatszych gospodarzy. Gdy matka zachorowała, pielęgnował ją z taką czułością i był tak widocznie zmartwiony i zaniepokojony, że współczuła mu cała wioska. Również ogólna była radość z jej wyzdrowienia.

Naogół małżeństwa żyły z sobą dobrze. Jednakże widziałam kiedyś młodą jeszcze Chinkę, zalewającą się łzami i gdy ją matka moja pytała o przyczynę, odpowiedziała, że mąż jej rozwodzi się z nią i odsyła ją rodzicom z powodu, że jest bezdzietną. Pożegnała się z nami i poszła. Później kilka kobiet zebrało się u mojej matki i omawiały ten wypadek.

— Biedna kobieta! — mówiła cienka jedna i wysoka wieśniaczka, — i niedobry ten mąż, że rozstał się z nią po tylu latach pożycia! Niechby raczej dobrał sobie drugą żonę.

— Ho, ho! Dwie utrzymywać! Czy on taki bogaty?

— I miałby ciągle kłótnie w domu!

— To niechby przybrał jakiego chłopaka za swego, jak inni robią. Taki Szunczi ma ich aż pięciu, toby mu odstąpił za niewielkie pieniądze.

— Ba! albo to w tem rzecz?! — odezwała się tajemniczo najbliższa sąsiadka wydalonej; i zniżając głos, dodała: — To matka Kiakinga tego wszystkiego narobiła. Niecierpiała ona synowej oddawna, dokuczała jej, ile mogła, i nareszcie namówiła syna na ten rozwód.

— No, to żona Kiakinga odetchnie, że odeszła od takiej złej teściowej!

— A czy myślisz, że rodzice przyjmą ją radzi? Wymawiać jej będą ciągle, że nie umiała sobie zjednać męża i teściowej, i że pewno ma jaką ciężką winę na sumieniu, kiedy ją niebo nie pobłogosławiło synem.

Rozmowa ta zrobiła na mnie wrażenie. Kiedy znalazłam się sama z matką, zapytałam:

— Mamo, czy wy popełniliście jaką ciężką winę, że nie macie syna?

Matka westchnęła.

*Dalszy ciąg nastąpi.*



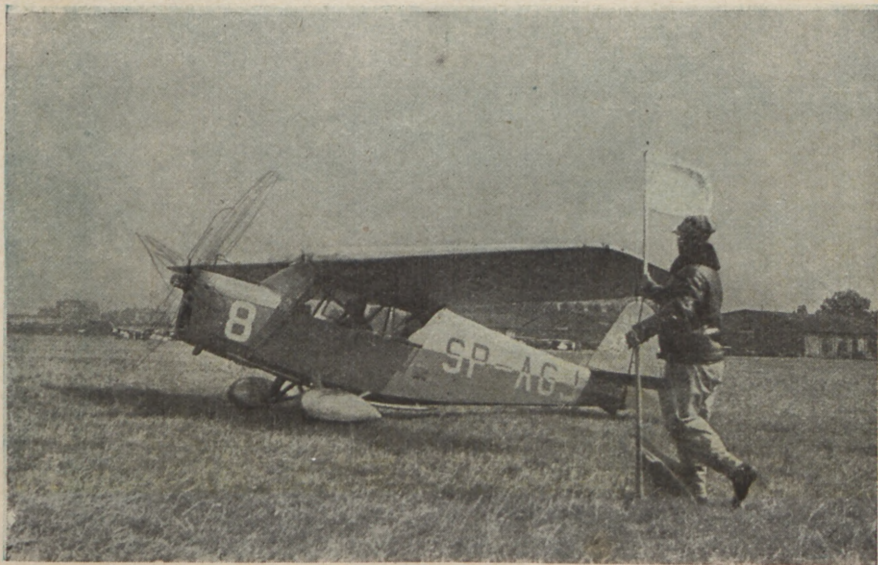
# ZBLISKA I ZDALEKA

## KATASTROFA POLSKIEGO SAMOLOTU W ROSJI.

12 września wyleciał z lotniska warszawskiego lotnik Lewoniewski w towarzystwie inż. Filipowicza dla zdobycia rekordu długości lotu. Samolot miał wylądować na Syberji. Niestety, koło Kazania po przeleceniu 1700 kilometrów wydarzyła się katastrofa. Lotnik Lewoniewski odniósł ciężkie rany i zmarł. Inż. Filipowicz zdążył wyskoczyć i życie uratował dzięki użyciu spadochronu.

## TURYSTYCZNE ZAWODY LOTNICZE.

Dnia 10 września zostały zakończone turystyczne zawody lotnicze. Najtrudniejszą częścią tych zawodów był lot naokoło Polski, szczególnie uciążliwy w czasie, gdy lotnicy przelatywali nad kresami wschodnimi, napotkali bowiem silny wiatr i burzę. Zwycięzca tych zawodów, por. Pronaszko, młody a dzielny lotnik, opowiadał nam, że nigdy nie odczuwał takiego rzucania samolotem, jak właśnie wtedy. To też wiele samolotów (były to wszystko samoloty lekkie — awionetki) ucierpiało. Jeden z samolotów wicher zagnał do Rosji, gdzie samolot spadł i jeden



Fot. Jan Ryś.

SAMOLOT RWD-5, BIORĄCY UDZIAŁ W ZAWODACH LOTNICZYCH.



z lotników został ranny. W zawodach zwyciężył, jak wspomnieliśmy, por. Pronaszko na samolocie RWD-5 (budowy ś. p. Wigury, Rogalskiego i Drzewieckiego).

W czasie zakończenia zawodów wydarzyła się na lotnisku katastrofa. Oto runął na ziemię samolot z fotografem, który robił zdjęcia przylatujących awionetek. Lotnik zginął, a fotograf odniósł ciężkie rany.

#### BALON „KOŚCIUSZKO” ODBYŁ W AMERYCE REKORDOWY LOT.

W Ameryce odbyły się zawody balonów kulistych o t. zw. puchar Gordon Bennetta. W zawodach tych wziął udział polski balon „Kościszko” z doskonałymi żeglarzami powietrznymi, por. Burzyńskim i kpt. Hynkiem. Balon zawędrował aż do Kanady i spadł w dziewiczych lasach. Przez kilka dni nie było wieści o żeglarzach i była obawa, że zginęli. Z miejsca wylądowania musieli przebyć kilkudniową podróż pieszo, żywiąc się pomarańczami. Dotarli wreszcie do siedzib ludzkich i dali znać o sobie. Dzięki temu, że balon „Kościszko” przebył najdłuższą drogę (1307 kilometrów) — zdobył pierwszeństwo i zaszczytną nagrodę.



Fot. Jan Ryś.

#### NA ROWERACH DOKOŁA POLSKI.

Takie właśnie zawody odbyły się we wrześniu. Tu widzicie wyjazd z Warszawy (na lewo widać nowy most kolejowy).



## HALLO! TU RADJO DO WAS MÓWI!

Na program dzisiejszy (4.X. g. 16.10) dla starszych dzieci przygotowało radjo piękne słuchowisko p. t. „*Witowi Stwoszowi — w hołdzie*”. Słuchowisko odtworzy uroczysty moment odsłonięcia wielkiego ołtarza w kościele Marjackim w Krakowie (1489 r.) — jednego z najwspanialszych dzieł rzeźbiarskich Wita Stwosza. Słuchowisko poprzedzi pogadanka o znakomitym artyście.

W niedzielę (8.X. g. 16) całkowity program popołudniowy dla dzieci zostanie nadany przez rozgłośnię lwowską. Posłuchajcie — ręczę, że będzie wesoło. O g. 19.30 Warszawa ogłosi świeży numer radjotygodnika dla starszej młodzieży „*Co się dzieje na świecie*”.

## KALENDARZYK PRZYJACIÓŁ ZWIERZĄT.

## PAŹDZIERNIK.

W ogródku robi się „żniwa” i sprząta wszystkie warzywa. Często marnuje się w tym czasie spora ilość liści buraków, kapusty, marchwi, kalarepy, pietruszki i t. p. Przyjaciel zwierząt zbiera te napozór bezużyteczne odpadki, których doraźnie skarmić nie można i przyrządza z nich kiszonkę.

W tym celu płócze się odpadki, aby ziemi w nich nie było, a następnie układa się je do czysto wymytej beczki, przesypując solą i ubija tak, jak kapustę, drewnianym tłokiem. Sól używa się do tego grubą, t. zw. czarną, bo ta jest o połowę tańsza. Wychodzi jej 2—3 kg na dużą beczkę. Ubite doskonale liście przykrywa się drewnianem denkiem, przyciska kamieniem i wstawia beczkę do suchego, wolnego od mrozu pomieszczenia. Zimą, gdy nasi czworonożni przyjaciele zapomną już, jak soczysta trawka smakuje, należy im dawać po trochu tej kiszonki, a będzie im smakowała świetnie i doskonale wpłynie na zdrowie.

Numery telefonów redakcji i administracji zostały zmienione: obecny numer telefonu administracji przy ul. Świętokrzyskiej: 5-22-18, redakcji przy ul. Dobrej Nr. 6: 5-38-26.

Do niniejszego numeru dodajemy wkładkę „Listy od redakcji”.

## WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1933/34:

	Miesięcznie	Kwartalnie	Rocznie	Nr. poj.
„Płomyk”	1 zł. 50 gr.	4 zł. 50 gr.	14 zł.	40 gr.
„Płomyczek”	1 zł. 20 gr.	3 zł. 50 gr.	11 zł.	30 gr.
„Płomyk” z „Płomyczkiem”	2 zł. 30 gr.	6 zł. 50 gr.	21 zł.	60 gr.

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie № 35 (wejście od ul. Dobrej Nr. 6).

Dla prenumeratorów warszawskich biuro administracji ul. Świętokrzyska 18. Nr. telefonu administracji 5-22-18, redakcji 5-38-26. Konto czekowe P. K. O. 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja przy ul. Świętokrzyskiej otwarta codziennie od godziny 9-ej rano do godziny 7-ej wiecz., na Wybrzeżu Kościuszkowskim od 9-ej rano do 2-ej pp.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka — HELENA RADWANOWA. Kierownik artystyczny — MICHAŁ BYLINA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.



# PLEMYK



ŻAGŁÓWKA.